

# Wyludniacz

Przełożył Antoni Libera

Tekst pisany po francusku w 1966, ukończony w 1970, przełożony na angielski przez autora w 1971, publikowany we fragmentach w latach 1967–69, ogłoszony wreszcie w całości w 1970 jako *Le dépeupleur*. Słowo tytułowe utworzone jest od czasownika *dépeupler* (wyludniać), użytego przez Alfonsa Lamartine'a w wierszu *Un seul être vous manque et tout est dépeuplé* (Brakuje ci jednej istoty a wyludniony jest cały świat). Tytuł angielski *The Lost Ones*. W tłumaczeniu wprowadzono nieobecne w obu wersjach przecinki za autoryzowanym przekładem niemieckim.

Siedziba błędzących ciał, z których każde szuka swojego wyludniacza. Dostatecznie obszerna, by szukanie było daremne. Dostatecznie ograniczona, by daremna była ucieczka. Jest to wnętrze płaskiego walca o obwodzie pięćdziesięciu metrów i szesnastu metrów wysokości, żeby była harmonia. Światło. Słabe. Żółte. Wszechobecne, jakby każdy z osiemdziesięciu tysięcy centymetrów kwadratowych całkowitej powierzchni promieniował osobno. Pulsujące, jakby ktoś dyszał. Zastygające czasem, jakby oddech zamierał. Wtedy wszyscy kostnieją. Ich pobyt może właśnie się kończyć. Po kilku sekundach wszystko odżywa. Wpływ takiego światła na oko, które szuka. Wpływ na oko, które przestając szukać utyka na ziemi albo, jeśli wzniesione, na odległym suficie, gdzie nikogo nie może być. Temperatura. Wahająca się bardziej miarowo między ciepłem a zimnem. Z jednej skrajności w drugą przechodzi w ciągu około czterech sekund. Także miewa chwile zastoju w mniejszym lub większym cieple lub zimnie. Zbiegają się one w czasie, kiedy zastyga światło. Wtedy wszyscy kostnieją. Wszystko może zaraz się skończy. Po kilku sekundach wszystko odżywa. Wpływ takiego klimatu na skórę. Staje się ona jak pergamin. Ciała ocierają się o siebie z szelestem zeschniętych liści. Dotyczy to także błon śluzowych. Odgłosu pocałunku nie sposób opisać. Tym, którym chce się jeszcze spółkować, nic z tego nie wychodzi. Nie dają jednak za wygraną. Ziemia i ściana są z twardej gumy lub czegoś podobnego. Uderzone gwałtownie stopą, pięścią lub głową nie wydają prawie odgłosu. Stąd też bezgłośność kroków. Jedyne odgłosy godne tej nazwy stanowią efekt ruszania drabin oraz zderzania się ciał ze sobą albo gdy jedno z całej siły uderzy się nagle w pierś. Tak się mają mięso i kości. Drabiny. Są to jedyne przedmioty. Bardzo różne co do wielkości, proste są bez wyjątku. Najniższe mają nie mniej niż sześć metrów. Niektóre są rozsuwane. Opierają się o ścianę w sposób raczej nieregularny. Stojąc na szczycie najwyższej najwyżsi końcem placów mogą dotknąć sufitu. Jego

materia jest więc równie dobrze znana, co materia ziemi i ściany. Uderzony gwałtownie szczęką nie wydaje prawie odgłosu. Drabiny są w wielkiej cenie. U podnóża każdej z nich zawsze lub prawie czeka mała kolejka. Lecząc żeby się wspiąć, potrzeba jeszcze odwagi. Bo wszystkim brakuje połowy szczękli i to w sposób raczej nieregularny. Gdyby brakowało co drugiego, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale brakuje i trzech pod rząd, co zmusza do akrobacji. Niemniej drabiny są w wielkiej cenie i nie ma obawy, by spadły do rangi zwykłych żerdzi związanych jedynie u swych końców. Potrzeba wspinania się jest bowiem nazbyt powszechna. Nieodczuwanie jej to rzadki przypadek wyzwolenia. Brakujące szczęble znajdują się w rękach garstki uprzywilejowanych. Głównie służą im one do napadania i samoobrony. Sporadyczne próby rozbicia sobie nimi głowy kończą się co najwyżej krótką utratą przytomności. Drabiny dają szukającym dostęp do nisz. A tym, którzy już tam nie chodzą, możliwość odrywania się od ziemi. Istnieje zwyczaj, że wchodzi się tylko pojedynczo. Daje to szansę uciekającemu, który znalazłszy szczęśliwie wolną drabinę, może się tam schronić i przeczekać, aż fala gniewu opadnie. Nisze albo wnęki. Są to jamy wydrążone wprost w ścianie powyżej linii, jaką można sobie wyobrazić w połowie wysokości. Występują więc tylko w połowie górnej. Przez bardziej lub mniej szeroki otwór wchodzi się zaraz do bardziej lub mniej przestronnej dziupli, zawsze jednak przestronnej na tyle, by ciało o normalnie funkcjonujących stawach mogło się tam przedostać i jako tako usadowić. Nisze rozmieszczone są tak, że tworzą nieregularne piątki jak na kostce do gry, przemyślnie ponachylane do osi i o boku przeciętnie siedmiometrowym. Harmonię tę podziwiać może jedynie ktoś, kto w ciągu długiego obcowania z niszami do tego stopnia poznał ich układ, że ma w pamięci dokładny obraz całego systemu. Zatem raczej wątpliwe, że ktoś taki istnieje. Bo każdy wspinający się ma swoje nisze ulubione i w miarę możliwości unika wchodzenia do innych.

Niektóre z nich łączą tunele poprzębijane wewnątrz ściany, dochodzące nieraz do pięćdziesięciu metrów długości. W większości jednak jedyne wyjście to wejście. Wygląda to tak, jakby w pewnym momencie nastąpiło zniechęcenie. Aby wrażenie to czymś potwierdzić, wystarczy wspomnieć o istnieniu długiego tunelu porzuconego w ślepym punkcie. Biada ciału, które zapuściwszy się tam lekkomyślnie, musi się stamtąd po długim wysiłku tą samą drogą wycofać tyłem. Prawdę mówiąc dramat taki nie zdarza się tylko w tunelu ślepym. Wystarczy pomyśleć, do czego dochodzi, gdy tunel zwykły forsują ciała w tym samym czasie z przeciwnych stron. W niszach i tunelach panuje to samo światło i klimat, co w całej siedzibie. Tyle o siedzibie na pierwszy rzut oka.

Jedno ciało na metr kwadratowy, więc w sumie, zaokrąglając, ciał dwieście. Bliżej lub dalej spokrewnione, bardziej lub mniej zaprzyjaźnione, na ogół wszystkie się znają. Rozpoznanie jest utrudnione na skutek ścisku i mroku. Pod pewnym względem ciała dzielą się na cztery rodzaje. Po pierwsze na te, które nieustannie są w ruchu. Po drugie na te, które zatrzymują się czasem. Po trzecie na te, które nigdy nie ruszają się ze zdobytego miejsca, chyba że są przepędzane, a wówczas dopadłszy pierwszego wolnego, nieruchomieją na nowo. To nie jest zupełnie ścisłe. Bo choć u tych ostatnich, czyli osiadłych, potrzeba wspinania się wygasła, to jednak, o dziwo, odradza się czasem. Wówczas ktoś taki porzuca swój punkt i idzie szukać wolnej drabiny albo ustawia się w kolejce, najkrótszej lub najbliższej. Prawdę mówiąc trudno jest szukającemu obyć się bez drabiny. Paradoksalnie to właśnie one, ciała osiadłe, najbardziej macą spokój walca swymi nagłymi wybuchami. Po czwarte na te, które nie szukają, czyli nie-szukające. Siedzą one na ogół pod ścianą w pozycji, która na twarzy Dantego wzbudzała jeden z owych nielicznych i nikłych jego uśmiechów. Nie-szukających, mimo grozy, jaką to napa-

wa, nie sposób w końcu traktować inaczej, jako eks-szukających. Aby takie ujęcie łatwiej dało się przełknąć, można sobie założyć, że potrzeba szukania odżywa nie słabiej niż potrzeba drabiny i że oczy z pozoru opuszczone na zawsze lub na zawsze zamknięte dziwną mocą na nowo rozpalają się nagle pośród twarzy i ciał. Nie przekreśli to jednak dostatecznie wrażenia, że to plemię niewielkie pomaleńku zamiera, aż do szczętu wytraci swe siły. Jest to proces na szczęście prawie nieodczuwalny, zbyt powoli przebiega i częściowo się cofa, gdy energia doznaje erupcji, zresztą nikt nie uważa, opętany bądź pasją, która wciąż go wypełnia, bądź zastygły w apatii, w jaką popadł bezwiednie. I niezdolne do tego, aby sobie przedstawić stan końcowy, gdy każde ciało będzie nieruchome, a każde oko bezczynne, dojdą doń nieświadomie i pozostaną już takie wcale o tym nie wiedząc. Zmienia się wówczas światło i klimat, choć nie wiadomo jak i w co. W każdym razie można tak przyjąć, że pierwsze zgaśnię straciwszy rację swego istnienia, a drugi ustali się w pobliżu zera. W zimnej czerni nieruchomego mięsa. Tyle z grubsza o tych ciałach widzianych pod pewnym względem i o tym ujęciu, wraz z tym, co z niego wynika, jeżeli jest do utrzymania.

Wnętrze walca o obwodzie pięćdziesięciu metrów i szesnastu metrów wysokości, żeby była harmonia, czyli prawie tysiąc dwieście metrów kwadratowych całkowitej powierzchni, w tym osiemset ściany. Nie licząc nisz i tuneli. Wszechobecne, słabe, żółte światło, które pulsuje jak szalone między zbieżnymi skrajnościami. Temperatura, która waha się podobnie, tyle że trzydzieści lub czterdzieści razy wolniej między maksimum rzędu dwudziestu pięciu stopni a minimum rzędu pięciu, czyli z regularnością pięciu stopni na sekundę. To nie jest zupełnie ścisłe. Bo u krańców tego słupka skok oczywiście może się zmniejszać do jednego tylko stopnia. Ale takie zwolnienie nie trwa nigdy dłużej niż sekundę. Rzadkie zjawisko zamierania



obu wibracji pochodzących niewątpliwie z tego samego źródła i jednocześnie ich odżywanie po różnotrwałych chwilach zastoju, nigdy jednak nie przekraczających dziesięciu sekund. Odpowiadające temu całkowite zastyganie ruszających się ciał i wzmożone zeszytnienie nieruchomych. Jako jedyne przedmioty piętnaście prostych drabin, w tym kilka rozsuwanych, poopieranych o ścianę w sposób raczej nieregularny. W górnej połowie ściany, na całym obwodzie, dwadzieścia nisz, pogrupowanych w piątki jak na kostce do gry, żeby była harmonia, i połączonych licznymi tunelami.

Od niepamiętnych czasów krąży pogłoska albo, lepiej, utrzymuje się idea, że istnieje wyjście. Ci, którzy już w to nie wierzą, nie są bezwzględnie odporni, by nie uwierzyć na nowo, zgodnie z wiadomym ujęciem, według którego, tak długo, dopóki obowiązuje, zamieranie wszystkiego przebiega tu tak stopniowo i, by powiedzieć już wszystko, w sposób tak bardzo falowy, że uszłoby nawet uwagi obserwatora z zewnątrz. Wszyscy, którzy zostali wierni temu staremu wierzeniu, dzielą się pod względem poglądu na temat istoty wyjścia i jego umiejscowienia na dwie zasadnicze grupy nie przeciwstawne sobie. Według jednych nie może być nic innego, jak tylko tajemne przejście, biorące swój początek w jednym z tuneli i prowadzące, jak powiada poeta, ku schronom natury. Drugim marzy się właz, ukryty w środku sufitu, otwierający drogę do komina, przez który miałyby jeszcze świecić słońce i inne gwiazdy. Zmiany poglądów są bardzo częste w obydwie strony i nieraz bywa, że ktoś, kto wierzy w danym momencie wyłącznie w tunel, już w chwilę potem, z tą samą mocą, wierzy we właz, a jeszcze zaraz znów sobie przeczy. Niemniej jest faktem, że z tych dwóch wyznań pierwsze wygasa na rzecz drugiego. Jednakże w sposób taki powolny, taki bezładny oraz, rzecz jasna, tak niewidoczny w sferze zachowań obydwu grup, że dostrzec go można tylko znając sekrety bogów. Taki kierunek

zmiany leży w logice rzeczy. Bo ci, którzy wierzą w przejście, w jakie wprowadzałby tunel, zawsze mają możliwość, nawet gdy o tym nie myślą, spróbować je odkryć samemu. Tymczasem wyznawcom włazu pokusa taka nie grozi, ponieważ środek sufitu znajduje się poza zasięgiem. W ten sposób wyjście, nim się znalazło, wędruje z wolna z tunelu na sufit. Tyle na pierwszy rzut oka o tym wierzeniu tak dziwnym, i samym w sobie, i ze względu na wierność, jakiej mu dochowuje tyle opętanych serc. Jego daremny płomyk zgaśnie im pewnie ostatni, przy stałym założeniu, że ma ich pochłonać ciemność.

Stojąc na szczycie wielkiej drabiny rozsuniętej do maksimum i opartej o ścianę najwyżsi końcem palców mogą dotknąć krawędzi sufitu. Ta sama drabina, ustawiona pionowo pośrodku podłogi, zyskiwałaby jeszcze około pół metra, co pozwalałoby tym samym ciałom swobodnie zbadać mityczny teren, zwany nieosiągalnym, a który w zasadzie wcale taki nie jest. Bo takie przedsięwzięcie daje się pomyśleć. Wystarczyłoby dwudziestu ochotników gotowych złączyć swe siły, aby utrzymać ją w pionie, z pomocą, w razie potrzeby, innych drabin pełniących rolę wsporników. Wystarczyłoby chwili braterstwa. Lecz poza współnictwem w gwałcie uczucie to jest im obce jak motylom. I to nie tyle z powodu braku serca czy inteligencji, lecz wskutek ideału, który każdego zniewala. Tyle o tym dziewiczym zenicie, gdzie według wyznawców mitu kryje się wyjście na ziemię i niebo.

Korzystanie z drabin podlega regułom o mętnej przyczynie, które ze względu na swą ścisłość i skrupulatność w ich przestrzeganiu u wspinających się przypominają prawa. Niektóre wykroczenia sprowadzają na sprawcę zbiorową furję, zdumiewającą u istot tak skądinąd spokojnych i względem siebie chłodnych, jeśli nie idzie o nic ważnego. Inne przeciwnie, ledwie zamącą ogólną obojętność. Zadziwiające w pierwszym



momencie. Wszystko opiera się na zasadzie, że na drabinę wolno wchodzić wyłącznie pojedynczo. Dopóki ktoś, kto jej używa, nie powrócił na ziemię, następny z kolejki nie ma na nią wstępu. Nie warto sobie nawet wyobrażać, jaki zamęt by powstał, gdyby takiej reguły nie było lub gdyby jej nie przestrzegać. Ale stworzona dla dobra wszystkich, posiada pewne ograniczenie, ochraniające przed wypadkami nazbyt długiego używania drabin przez nie liczących się z innymi. Gdyby nie było takiej poprawki, ktoś, komu spodobałoby się zostać na stałe w niszy lub tunelu, czyniłby swą drabinę na zawsze nieużywalną. A gdyby za nim poszli inni, co nieuchronnie by nastąpiło, doprowadziłoby to do stanu, że wspinających się ciał by było sto osiemdziesiąt pięć, czyli jedynie prócz pokonanych na zawsze przykutych do ziemi. Nie mówiąc już o widoku, który byłby nieznośny, pozostałych przedmiotów nie służących niczemu. Przyjęto więc, że po upływie pewnego czasu, który trudno określić, lecz który każdy potrafi odmierzyć co do sekundy, drabina na nowo jest wolna, to znaczy następny, co pragnie się wspinać, stojący rzecz jasna w kolejce na przedzie, ma prawo jej użyć na tych samych warunkach i nie zważając na marudera. Ten ostatni po stracie drabiny znajduje się w sytuacji istotnie niełatwej i à priori wydaje się wykluczone, by mógł kiedykolwiek powrócić na ziemię. Udaje mu się to jednak po dłuższym lub krótszym czasie dzięki innej klauzuli, przyznającej pierwszeństwo schodzącym przed wchodzącymi w każdych okolicznościach. Musi więc czuwać po prostu u wejścia do swojej niszy, aż zjawi się tam drabina, a wtedy na nią wstąpić i to w zupełnym spokoju, że ten, który stoi na dole lub właśnie zaczął się wspinać, na pewno go przepuści. Najgorsze co może go spotkać, to dosyć długie czekanie z powodu obrotu drabin. Istotnie, rzadko się zdarza, aby następny z kolejki wybierał tę samą niszę, do której się wspinał poprzednik, z oczywistego względu, który stanie się jasny w odpowiednim czasie. Na ogół raczej bierze drabinę i pociągając za sobą innych idzie pod

jedną z pięciu nisz, jakie są wolne wskutek różnicy między ilością jednych i drugich. A powracając do nieszczęśnika, który przekroczył przyznany czas, jest oczywiste, że jego szanse na szybszy powrót wzrastają nieco, choć nie dwukrotnie, jeśli szczęśliwie trafił na tunel dający dostęp do drugiej niszy. Ale na ogół i w tym wypadku, a już bezwzględnie, gdy tunel długi, woli on trzymać się jednej z nisz, by dostawiana wreszcie drabina nie zaskoczyła go właśnie wtedy, kiedy przechodziłby z jednej do drugiej. Ale drabiny służą nie tylko do zdobywania nisz i tuneli. Ci, co przestali, choćby przejściowo, interesować się tym terenem, wykorzystują je, by po prostu móc się oderwać czasem od ziemi. Wchodzą więc na nie i osiągnąwszy wybrany poziom, najczęściej stoją, twarzą do ściany. Wśród wspinających się tej odmiany także bywają czasem wypadki, że ktoś przekroczy przyznany czas. Wówczas przyjęto, że ten, któremu ma przysługiwać teraz drabina, idzie na górę do winowajcy i przywołuje go do porządku jednym lub serią uderzeń w plecy. Co niezawodnie sprawia, że tamten natychmiast schodzi za swym następcą, któremu nic już teraz nie wadzi użyć drabiny w zwyczajnym trybie. To posłuszeństwo zwlekającego jasno dowodzi, że wykroczenie było nie chciane, a wynikało z okresowego zdezelowania poczucia czasu, zatem jest całkiem zrozumiałe i jako takie wybacalne. Oto dlaczego ten typ nadużyć, zresztą dość rzadkich zarówno u tych, co się wspinają do samych nisz, jak u tych drugich, co tylko wchodzą, by się oderwać, nie wzbudza nigdy takiego gniewu, jaki dosięga zawsze biedaków, którzy rozpoczną swoją kolejkę, nim wyznaczony czas upłynie, choć taki pośpiech, zdawałoby się, również nietrudno jest wytłumaczyć, więc też powinien być wybaczalny, na mocy tego samego prawa co przewinienie odwrotne. To rzeczywiście zadziwiające. Wynika jednak z zasady głównej, że wchodzi się tylko w pojedynkę, co, gdyby nie było przestrzegane, zmieniłoby wnet siedzibę po prostu w pandemonium. A opóźniony powrót na ziemię nie szkodzi w końcu nikomu

poza guzdrzącym się. Tyle na pierwszy rzut oka o zasadach wspinania.

Przenoszenie drabin także nie jest bezładne i odbywa się zawsze wzdłuż ściany, wirowo. Jest to reguła równie surowa, jak ta, co wzbrania, aby się wspinał więcej niż jeden w tym samym czasie, i naruszanie jej źle się kończy. Co najzupełniej naturalne. Bo gdyby wolno było nosić drabiny poprzez tłum, na skróty, albo wzdłuż ściany, lecz dowolnie w obu kierunkach, życie walca wnet stałoby się niemożliwe. Toteż ze względu na tych, co niosą, jest wydzielony pas przy ścianie o szerokości około metra. Tam przebywają też ci, co stoją w oczekiwaniu na swą kolej, ciasno przy sobie i przywierając jak tylko można tyłem do ściany, by nie zajmować miejsca na placu.

Rzeczą szczególną, godną uwagi, jest fakt, że na tym pasie, także pod ścianą, siedzi lub stoi wielu osiadłych. Mimo że z drabin, praktycznie biorąc, w żaden już sposób nie korzystają, a przy tym jeszcze stanowią kłopot dla tych, co niosą i co czekają, są niemniej jednak tolerowani. To fakt, że typy takich pół-mędrców, będących zresztą we wszelkim wieku, wzbudzają u tych, co stale krążą, pewien szacunek, jeśli nie kult. Który ma wielkie dla nich znaczenie, jakby to był należny hołd, więc chorobliwie są uczuleni na najdrobniejsze uchybienia. Osiadły może, gdy nań nastąpić, zamiast go minąć albo przekroczyć, wpaść w taką furję, że cały walec wprawi w niepokój. Pod ścianą również, stojąc lub siedząc, tkwi czwórka z pięciu już pokonanych. Ci na deptanie nie reagują.

Należy wspomnieć wreszcie o tym, jaką ostrożność przejawiają ci, co szukają na arenie, by nie wejść w rejon wspinających. Kiedy znużeni szukaniem w tłumie zwracają się w tamtą stronę, dochodzą tylko do skraju pasa, wyczuwanego w wyobraźni, i posuwają się wzdłuż niego patrząc zachłannie na tych

wszystkich, którzy się tam znajdują. Ten wolny ich obchód w kierunku przeciwnym do ruchu niosących tworzy pas drugi, jeszcze węższy, który respektowany jest z kolei przez większość z reszty szukających. Gdyby ktoś patrzył na to z góry przy odpowiednim oświetleniu, widziałby czasem dwa pierścienie obracające się w dwie strony wokół mrowiska w środku.

Jedno ciało na metr kwadratowy powierzchni bieżącej, więc w sumie, zaokrąglając, ciał dwieście. Obu płci i we wszelkim wieku od starości po niemowlęstwo. Oseki, nie mające co ssać, od samego początku szukają oczyma lub tkwią skulone na ziemi w pozycjach nie na ich wiek. Inne, rozwinięte już bardziej, krążą na czworakach i szukają wśród nóg. Malowniczy szczegół, siwowłosa kobieta, jeśli sądzić po udach, całkiem jeszcze młoda, wsparta o ścianę w rezygnacji, z zamkniętymi oczami, odruchowo przyciska do swej piersi malca, który, by się odwrócić i patrzeć za siebie, wygina się w łuk. Lecz tych zupełnie małych jest stosunkowo niewiele. Nikt nie zagląda w siebie, gdzie nikogo nie może być. Oczy zamknięte lub opuszczone oznaczają rezygnację i są właściwe tylko pokonanym. Tych można zliczyć dokładnie na palcach jednej ręki. Są niekoniecznie nieruchomi. Bywa, że błądzą pośród tłumy nie zupełnie nie widząc. I zwykłe oko nie odróżni ich wcale od ciał o władniętych wciąż pasją. Ale te ich poznają i ustępują z drogi. Bywa, że stoją pod drabiną w oczekiwaniu na swą kolej i wchodzą potem aż do nisz lub żeby tylko być nad ziemią. Bywa, że pełzną po tunelach w ślepym pościgu za niczym. Ale na ogół rezygnacja sprawia, że całkiem zastygają, tyleż w przestrzeni, co w pozycji, która najczęściej i bez względu na to, czy stoją czy siedzą, jest bardzo niskim pochyleniem. To właśnie ono ich odróżnia od szukających, co osiedli, którzy, choć bacznie obserwują każde ciało, jakie ich mija, głową nie czynią przy tym najdrobniejszego ruchu. Stojąc lub siedząc tkwią pod



ścianą oprócz jednego, co rażony w środku areny, tam już pozostał wśród zabieganych. Ci go poznają i uważają, by mu nie wadzić. W wygasłych oczach pokonanych stale odnawia się dawny blask, tak jak ochota na wspinanie u tych, co zrzekli się już drabin. A zatem prawdą jest, że w walcu coś, co jest mało możliwe, wcale takie nie jest, będąc jedynie takim nie bardziej ani tym bardziej mniej niż cokolwiek innego, jeżeli to ujęcie jest do utrzymania. Więc oczy nagle otwierają się i wygłodniałe jak w tym pierwszym dniu nie do pomyślenia znów zaczynają szukać, aż raptem, bez wyraźnego powodu, znów zamykają się lub opada głowa. To tak jakby z wielkiego kopca piachu osłoniętego przed wiatrem jednego roku brać trzy ziarnka, a następnego dorzucać dwa, jeżeli to ujęcie jest do utrzymania. Więc jeśli nawet pokonani mają przed sobą taką drogę, cóż rzec o innych i jak ich nie zwać pięknym imieniem szukających? Część z nich, na pewno najliczniejsza, w ogóle się nie zatrzymuje, poza czekaniem na drabinę oraz czuwaniem w niszach. Inni przystają czasem na chwilę, lecz nie przestają szukać oczyma. A jeśli idzie o osiadłych, to ci nie krążą, bo uznali, że większe szanse mają wtedy, gdy pozostają w jednym miejscu, a nie wspinają się do nisz i nie zachodzą do tuneli, bo nazbyt częste ich wędrówki okazywały się daremne lub nazbyt przykro się kończyły. Inteligencję korci tutaj, żeby ich uznać za przyszłych pokonanych, a dalej idąc takim tropem, aby się po tych, co wciąż krążą, spodziewać tego, że się staną, prędzej ozy później, po kolei, przystającymi co jakiś czas, a po tych znów, że osiadą, a że osiadli skończą potem jako nareszcie pokonani, w końcu po dwustu pokonanych, jakich uzyska się w ten sposób, że po kolei, prędzej czy później, dadzą pokonać się na dobre i że zastygną raz na zawsze, każdy w swym miejscu i pozycji. Lecz doświadczenie wykazuje, gdy nada się tym klasom numery porządkowe, że jest możliwe przechodzenie z pierwszej do trzeciej ponad drugą, z pierwszej do czwartej ponad drugą lub ponad trzecią lub nad dwiema, z drugiej do

czwartej ponad trzecią. W przeciwną stronę niedostatecznie pokonani, z rzadka, z każdym nawrotem na coraz krócej, stają się znów osiadłymi, z których niektórzy, w swoim czasie, zawsze ci sami niepoprawni, dają się skusić na wspinanie, martwi jedynie dla areny. Lecz ci, co teraz, choćby rzadko i nie przestając szukać oczyma, przystają jednak co jakiś czas, krążyć już w kółko nie będą nigdy. Więc na początku, co jak koniec jest równie nie do pomyślenia, wszyscy błakali się bez chwili oddechu ani wypoczynku, nie wyłączając noworodków, skoro noszono je ze sobą, prócz oczywiście tych, co stali już u podnóża swoich drabin lub co skurczeni czuwali w niszach lub co zastygli po tunelach, by mogli lepiej nasłuchiwać, więc tak błakali się czas długi, którego nie da się wyliczyć, aż wreszcie znieruchomiał pierwszy, a za nim drugi i tak dalej. A co się tyczy stanu, jaki jest w chwili bieżącej, a jest to chwila jedyna dokonywania obliczeń, o wiernych, co niestrudzenie ruszają się tam i z powrotem nie dając sobie wytchnienia, o tych, co czasem przystają, o tych, co siedzą bez ruchu, wreszcie o tych ostatnich, zwanych pokonanymi, wystarczy powiedzieć tyle, nie popełniając błędu na skutek ścisku i mroku większego niż jedno ciało, że w chwili bieżącej pierwszych jest dwa razy więcej niż drugich, drugich trzy razy więcej niż trzecich, trzecich cztery razy więcej niż czwartych, a tych, czyli pokonanych, wszystkiego razem pięciu. W większości są spokrewnieni oraz zaprzyjaźnieni, nie mówiąc już o tym, że wzajemnie się znają. Na skutek ścisku i mroku rozpoznanie jest trudne. Z odległości dwóch kroków nie poznają się wzajem mąż i żona, by wspomnieć tylko o tym związku najbardziej ze wszystkich intymnym. Przybliżywszy się bardziej, na odległość dotknięcia, wymieniają spojrzenia nie przystając na chwilę. Jeśli siebie poznają, niczym tego nie zdradzą. Czegokolwiek szukają, to nie jest tym.



W pierwszej chwili w półmroku uderza wrażenie wszechobecnej żółtości, by z powodu skojarzeń nie mówić o siarce. Potem to, że pulsuje miarowo i ciągle w tempie dosyć zawrotnym, lecz nigdy nie takim, by wibracja się stała całkiem nieodczuwalna. Wreszcie, o wiele później, że od czasu do czasu i na bardzo krótko pulsowanie zamiera. Dramatyczny efekt tych rzadkich zastoju, mówiąc całkiem ogólnie, jest niewyraźny. Ci, co zawsze są w ruchu, stoją wrośnięci w miejscu, w pozycjach często dość dziwnych, a pokonani oraz osiadli martwieją do tego stopnia, że zwykła ich nieruchomość wydaje się przy tej śmieszna. Pięści wzniesione w gniewie albo w obrocie własnej kostnieją w dowolnym punkcie, aby dopełnić ciosu albo serii uderzeń, dopiero gdy alarm minie. Podobnie z tymi wszystkimi, których to zaskakuje albo w trakcie wspinania, albo nosenia drabin, albo spełniania miłości, jaka nie daje się spełnić, albo kulenia się w niszach albo pełzania w tunelach, z wszystkimi tak jak wypadnie, nudne szczegóły są zbędne. Lecz po dziesięciu sekundach puls odżywa na nowo i wszystko zaraz powraca do stanu, jaki był przedtem. Ci, co stale krążyli, znów zaczynają krążyć, a ci, co tkwili w bezruchu, wyraźnie się rozluźniają. Spółkujący na nowo biorą się do działania, pięści kontynuują wszczęte uprzednio ruchy. Zgiełk, który przycichł nagle jak wyłączony z sieci, znowu wypełnia walec. Poprzez wszelkie odgłosy, jakie się nań składają, słuch wychwytuje wreszcie słabe owadzie brzęczenie, które pochodzi od światła i jest jedynie niezmiennie. Rozpiętość skoku wibracji liczy sobie nie więcej niż dwie albo trzy świece. Stąd na wrażenie żółtości nakłada się nieco słabiej wrażenie czerwieni. Światło to, krótko mówiąc, nie dość, że raczej zaćmiewa, to dodatkowo jeszcze mąci samo widzenie. Nic nie przeszkadza twierdzić, że do takich warunków oko przywyka w końcu dostosowując się do nich, tyle że skutek tego jest raczej całkiem odwrotny, to znaczy, że wzrok się psuje wyniszczany powoli przez to mroczne żarzenie i przez stały wysiłek, nieodmiennie daremny, który

przyprawia także o duchowe cierpienie, co jest nie bez znaczenia. I gdyby można było przez czas dostatecznie długi przyglądać się z bliska oczom, najlepiej dwojgu niebieskim, bo te najłatwiej się psują, widziałoby się, jak stale rozwierają się szerzej, jak wciąż nabiegają krwią i jak źrenice stopniowo powiększają swój obwód, aż wypełnią całą rogówkę. Wszystko to oczywiście w tempie tak bardzo wolnym, tak słabo wyczuwalnym, że ci, których to dotyczy, nie dostrzegają niczego, jeżeli to ujęcie jest do utrzymania. A istota myśląca, która by na chłodno rozważała te wszystkie dane i oczywistości, w konkluzji wieńczącej badania nie uniknęłaby błędu, że zamiast o pokonanych, który to termin istotnie pobrzmiewa niemile patosem, jest o wiele właściwiej mówić po prostu o ślepcach. Kiedy mija nareszcie pierwsze oszołomienie, odkrywa się, że to światło jest jeszcze niezwykle przez to, iż nie wskazuje na jakiegokolwiek źródło, jedno lub powielone, widoczne albo ukryte, zdając się promieniować zewsząd i wszędzie naraz, jakby cała ta przestrzeń sama była świecąca, włącznie z cząstkami powietrza unoszącego się tutaj. Zewsząd do tego stopnia, że nawet same drabiny robią takie wrażenie, jakby dawały światło, nie zaś je pobierały, z tym tylko zastrzeżeniem, że światło to nie to słowo. Toteż jedyne cienie, jakie tutaj istnieją, powstają między ciałami, które rozmyślnie lub z musu cisną się wzajem do siebie, a więc na przykład na piersi podczas tulenia się do niej, aby się chronić przed blaskiem, albo na płuć którejkolwiek, gdy nieprzejrzysta ręka przykładą się do niej dłonią, która tym samym także w tym samym momencie znika. Natomiast ten, co się wspina samotnie po swej drabinie lub dotarł już w głąb tunelu, migoce na całym ciele tym żółtoczerwonym migotem; nawet w niektórych bruzdach i najtajniejszych wgłębieniach, o ile tylko powietrze ma tam swobodny dostęp. Ekstrema temperatury są znacznie bardziej rozpięte i jej wahanie się w kółko przebiega znacznie wolniej, albowiem przejście z minimum, jakie wynosi pięć stopni, do maksimum

dwudziestu pięciu, wymaga co najmniej czterech sekund, co sprawia, że na sekundę wypada przeciętnie pięć stopni. Czy to oznacza, że w każdej z mijających sekund temperatura wzrasta lub spada dokładnie o pięć stopni? Niezupełnie. Albowiem jest oczywiste, że na dwóch wysokościach na skali, mianowicie od stopnia dwudziestego pierwszego w górę i od dziewiątego w dół, skok taki nie następuje. A zatem na osiem sekund, jakich wymaga ruch w dwie strony, tylko zaledwie przez sześć i pół ciała doznają największej mocy wzrastania i opadania ciepła, co wszakże, kiedy się zsumuje, a raczej kiedy się podzieli, daje dwadzieścia lat wytchnienia w ciągu stulecia w tym zakresie. Względna powolność tego ruchu przy oszalałym drzeniu światła budzi niepokój w pierwszej chwili. Ale niepokój ten niebawem rozprasza pewna analiza. Bo gdy się dobrze zastanowić, wychodzi na jaw, że nie prędkość, ale rozpiętość jest tu różna. I jeśliby temperaturze zmniejszyć wahanie do zakresu równowartego kilku świecom, oba zjawiska, *mutatis mutandis*, w niczym by już się nie różniły. Lecz to by walca nie urządziło. Z wszystkim jest zatem jak najlepiej. Zwłaszcza że obie nawałnice w tym się zbiegają, iż gdy jedna jakby magicznie się zatrzymuje, druga natychmiast też ustaje, jak gdyby obie zależały gdzieś od jednego przełącznika. Bo coś jest pewne tylko w walcu, na zewnątrz wszystko tajemnicą. Ciała zaznają więc czasami przez dziesięć sekund, nigdy dłużej, stałego ciepła albo zimna, albo też czegoś pośredniego. Lecz niepodobna uznać tego za stan wytchnienia, tak jest wielkie inne napięcie w owym czasie.

Spód walca składa się z trzech kręgów, oddzielonych od siebie ściśle przez granice, wyznaczone w umyśle albo w wyobraźni, są bowiem niewidoczne dla zwykłego oka. Najpierw więc pas zewnętrzny, na metr mniej więcej szeroki, przeznaczony wyraźnie dla wspinających się i wyróżniany, co dziwne, przez większość spośród osiadłych oraz przez pokonanych.

Następnie pas wewnętrzny, nieco węższy, nieznacznie, którym wolno, gęsiego, suną ci, co znużywszy się szukaniem pośrodku, ruszyli ku obwodowi. Wreszcie arena właściwa, o powierzchni mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów, czyli pole łowieckie zdecydowanej większości. Gdy nadać tym trzem kręgom numery porządkowe, ujrzy się wyraziście, że szukający przechodzi swobodnie, tam i z powrotem, z trzeciego do drugiego, natomiast obowiązuje go rygor, gdy pragnie wejść do pierwszego, jak zresztą i z niego wyjść. Jeden z tysięcy przykładów równowagi w walcu, jaka zachodzi pomiędzy porządkiem a dowolnością. Wejść zatem, gdzie się wspinają, wolno dopiero wówczas, kiedy ktoś stamtąd wyjdzie i przyłączy się do tych, co szukają na placu, lub wyjątkowo do tych, co są w kręgu pośrednim. Choć rzadko, niemniej się zdarza, że powyższa reguła zostaje złamana, na ogół gdy szukający jest szczególnie nerwowy i uległszy pokusie tuneli i nisz, usiłuje się wślizgnąć na teren wspinania, zanim zwolni się miejsce. Zostaje wówczas przez kolejkę najbliższą miejsca przekroczenia bezwzględnie wyrzucony i na tym sprawa się kończy. A więc każdemu z szukających, którzy chcą przenieść się z areny na teren, skąd się można wspinać, nie pozostaje nic innego, jak tylko czyhać na okazję w kręgu pośrednim, czyli wśród tych, co są na czatach lub, krótko, pośród czatujących. Tyle na temat dojścia do drabin. Przejście w przeciwną stronę także nie jest swobodne i czatujący raz wszedłszy w obszar, gdzie się wspinają, pozostaje tam trochę, to znaczy przynajmniej tyle, a z tym już bywa różnie, ile potrzeba każdemu, aby z końca kolejki przesunąć się na początek. Bo tak jak każdy ma prawo wspinać się albo nie, tak twardy ma obowiązek odbyć dowolną kolejkę. Wszelkie podjęte próby przedwczesnego odejścia są bezwzględnie tłumione przez pozostałych z kolejki i winnego na powrót ustawia się w jego miejscu. Lecz gdy tylko się znajdzie u podnóża drabiny i dzielić go od niej będzie zaledwie czyjś powrót na dół, zainteresowany jest wolny i bez żadnego oporu



może dołączyć do tych, którzy szukają na placu, lub wyjątkowo do tych, co w kręgu drugim czatują. Dlatego właśnie ci wszyscy, co stoją w kolejkach na przedzie, jako najbardziej podatni na to, by zwolnić miejsce tak bardzo pożądane, znajdują się w centrum uwagi tych, którzy w kręgu drugim z niecierpliwością czekają, by dostać się do pierwszego. Przedmiotem tej obserwacji przestają być wówczas dopiero, gdy skorzystawszy z prawa do użycia drabiny, wezmą się do działania. Bo bywa, że w czekającym, który dotarł na czoło niezmienne zdecydowany na podjęcie wspinaczki, chęć ta zaczyna tam słabnąć, wypiera na stopniowo przez wolę odejścia, jednak nie w takim tempie, by dojrzała do czynu przed ostateczną chwilą, kiedy poprzednik zszedłszy, czyni drabinę wolną. Należy też odnotować, że opuszczenie kolejki zaraz po dojściu na czoło nie zmusza czekającego do opuszczenia kręgu. Niechaj się tylko przyłączy do którejś z czternastu innych, jakie ma do wyboru, albo po prostu wróci na koniec tej, którą odbył. Jednakże rzadko się zdarza, aby ciało po pierwsze opuściło kolejkę, a po drugie, gdy jednak wyjątkowo to robi, nie opuściło kręgu. Raz zatem wszedłszy w krąg wspinania, nie ma się już innego wyjścia, jak tylko zostać tam tak długo, ile wymaga tego przejście z końca kolejki na początek. Czas ten jest różny i zależy od jej długości i od tego, ile kto siedzi na drabinie. Jedni zwalniają ją dopiero, kiedy wygasa dany czas. Innym wystarcza jego część, połowa albo jeszcze mniej. Więc niekoniecznie jest najszybsza kolejka krótka, i oto ktoś, kto wystartował jako dziesiąty, może być pierwszy przed kimś, kto wystartował jako piąty, przy założeniu oczywiście, że obaj startowali razem. W tej sytuacji nic dziwnego, że względy, jakie decydują, którą z kolejek się wybierze, nie mają związku z jej długością. Co nie oznacza, żeby wszyscy albo przynajmniej znaczna większość w ogóle tutaj wybierała. Raczej zaznacza się tendencja, by z miejsca łączyć do kolejki najbliższej punktu przekroczenia, jeśli, rzecz jasna, to nie wymaga zakazanego ruchu pod prąd. Po przejściu

linii kręgu frontem najbliższa jest kolejka z prawej, jeżeli jednak wchodzącemu akurat ta nie odpowiada i pragnie znaleźć sobie inną, musi skierować się na prawo. Co poniekąd w tych warunkach, zanim zaczęliby gdzieś czekać, przebiegliby tysiące stopni, gdyby nie zakaz, że nie wolno chodzić po pasie dookoła więcej niż jedno okążenie. Wszelka próba przemknienia jest bezwzględnie tłumiona przez kolejkę najbliższą miejsca zdublowania i winowajca musi przyłączyć się do niej, bo zawrócić, rzecz jasna, także mu nie wolno. Prawo obejścia kręgu wkoło świadczy o duchu tolerancji, jaki łagodzi dyscyplinę. Lecz wszystko jedno, czy kolejka jest pierwszą lepszą, czy z wyboru, i tak ją trzeba odstać całą, by móc się z kręgu znów wydostać. Więc po raz pierwszy wolno odejść dopiero wówczas, gdy się dojdzie na pierwsze miejsce w swej kolejce, a nie zszedł jeszcze na dół poprzednik. W tym względzie pozostaje jeszcze wyjaśnić sytuację ciała, które odstawszy swą kolejkę, nie opuściło jednak kręgu przy owej pierwszej sposobności, wykorzystało zaś drabinę i oto właśnie schodzi na dół. W takim momencie znów ma prawo odejść bez żadnych ceregieli, lecz nic do tego nie przymusza i aby zostać na terenie, wystarczy tylko, by stanęło tak jak poprzednio w swej kolejce, znów z prawem opuszczenia kręgu zaraz po dojściu na początek. A jeśli z tych czy innych względów uzna, że lepiej mu poszukać innej kolejki i drabiny, ma prawo, by ją sobie wybrać, znów zrobić pełne okążenie, tak samo jak za pierwszym razem i na tych samych warunkach, z różnicą tylko, że już mając jedną kolejkę zaliczoną może wyjść z kręgu w każdej chwili, kiedy ponownie go obchodzi. I dalej tak w nieskończoność. Możliwe stąd teoretycznie, że ci, co weszli już do kręgu, nigdy się stamtąd nie wyniosą, a ci, co jeszcze są poza nim, nigdy się tam nie przedostaną. Lecz fakt, że nie ma żadnych reguł, które by miały zapobiegać takiej to niesprawiedliwości, jasno wskazuje, że nie grozi, by utrwaliła się na zawsze. I rzeczywiście. Bo namiętność szukania jest tak wielka, że zmusza, aby szukać



wszędzie. Niemniej czatującemu, który poluje na zwolnienie miejsca, czekanie może zdać się wiecznym. Czasem nie mogą już wytrzymać, a wskutek długiej niebytności znów dla areny odrodzony, ktoś rezygnuje ze wspinania i wraca, aby tam znów szukać. Tyle z grubsza o głównych strefach na ziemi oraz o prawach i obowiązkach ciał przy przechodzeniu z jednej do drugiej. Nie powiedziano wszystkiego i nigdy się nie powie. Jaka zasada pierwszeństwa panuje wśród czatujących, skoro ich zawsze tak wielu i wszystkim tak bardzo zależy przejąć niezwłocznie miejsce, zwalniane w kręgu wspinania, i skoro wstęp na przedpole, czyli do kręgu drugiego, nie jest regulowany ani przez system kolejki, jakiej w danym wypadku nie dałoby się ustawić, ani też w inny sposób? Czy nie należy się lękać, że dojdzie do przepełnienia kręgu zwanego pośrednim i co by to oznaczało dla reszty ciał, a szczególnie dla tych, co są na arenie, odciętych w ten sposób od drabin? Czyż walec nie jest skazany w bliższej lub dalszej przyszłości na chaos, gdzie będą rządzić wyłącznie szaleństwo i gwałt? Odpowiedź na te pytania oraz na wiele innych jest prosta i dać ją łatwo. Trzeba się tylko odważyć. Osiadłych nie sposób uznać za przypadek szczególny, skoro tylko drabiny mogą ich wytrącić ze stanu znieruchomienia. A pokonanych, rzecz jasna, nie ma tutaj co liczyć.

Wpływ tego klimatu na duszę jest nie do zlekceważenia. Lecz cierpi ona od tego na pewno nie tak jak skóra, której systemy obronne, od potu po gęsią skórę, bez przerwy są wystawiane na próbę. Niemniej, mimo że słabo, broni się ona z honorem w porównaniu z oczyma, o których nie sposób orzec, z wolą najlepszą na świecie, niczego innego jak tylko, że nieustanny wysiłek skazuje je na ślepotę. Bo same będąc skórą na swój swoisty sposób, nie mówiąc o ich płynach oraz o ich powiekach, mają więcej niż tylko jednego przeciwnika. Wysuszenie powłoki odbiera nagości prawie cały jej urok, czyniąc

różowość szarą i sprawiając, że ciała, wilgotniejące z natury, gdy ze sobą obcuja, szeleszczą jak pokrzywy. Dotknięte tym zostały nawet błony śluzowe, co o tyle nie miałoby większego znaczenia, o ile by nie było przeszkodą w miłości. Ale nawet w tym względzie nie ma wielkiej biedy, bo wielką rzadkością jest w walcu erekcja. Niemniej zdarza się czasem, wtedy następuje bardziej lub mniej udana penetracja otworu, jaki jest najbliżej. Bywa, że zgodnie z prawem prawdopodobieństwa w taki sposób się łączą nawet pary małżeńskie, nic o tym nie wiedząc. Widok, jaki to daje, jest niesamowity. Swawole, bolesne oraz beznadziejne, przeciągają się znacznie ponad to, co potrafią najzdolniejsi kochankowie w sypialni. Wszystko to dlatego, że każdy i każda zdają sobie sprawę, i to doskonale, jak okazja jest rzadka i jak mała szansa, by się powtórzyła. Lecz i oni, gdy tylko pulsowanie ustaje, zawieszają działalność i martwieją w bezruchu, w pozycjach, bywa nieraz, dość nieprzyzwoitych, póki ten kryzys nie minie. Gdyby tylko nie były tak słabo widoczne, jeszcze bardziej niezwykle są w tym czasie oczy, te wszystkie rozbiegane, które zastygły nagle, utkwily bądź w pustce, bądź w czymś znienawidzonym od dawna, na przykład w innych oczach, i zatapiają w sobie głębokie spojrzenia zamiast siebie unikać, co jest im właściwe. Między tymi przerwami nieregularne okresy, tak długie, że przy podobnym zaniku pamięci, jaki ich cechuje, każda jest dla nich pierwsza. Stąd niezmiennie ta sama gwałtowna reakcja jak na koniec świata i to samo chwilowe zdumienie, gdy tylko podwójna nawałnica znowu się zaczyna, a oni na nowo zaczynają szukać, wcale nie pocieszeni, nawet nie zawiedzeni.

Ściana, widziana z dołu, do samego sufitu i na całym obwodzie wygląda jak gładka. A przecież górna jej połowa podziurawiona jest przez nisze. Paradoks ten bierze się stąd, że wszechobecne, słabe światło daje wyrównujący efekt. Nie

stwierdzono wypadku, by niszypatrywał ktoś z dołu. Oczy wznoszą się rzadko, a jeśli już, to na sufit. Na ziemi i ścianie nie ma żadnego znaku, który mógłby służyć za punkt odniesienia. Nogi drabin stojących wciąż w tych samych miejscach nie zostawiają śladów. Tak samo uderzenia głową i pięścią o ścianę. Gdyby jakieś znaki istniały tam nawet, i tak w tym świetle byłyby niewidoczne. Wspinający się, który odchodzi z drabiną, aby ją ustawić w jakimś innym miejscu, robi to w znacznej mierze na wycucie. Rzadko się zdarza, aby się pomylił o więcej niż kilka centymetrów, a nigdy o ponad metr, taki jest bowiem układ nisz. Namiętność, jakiej ulega, wyrabia w nim taką zręczność, że nawet odstępstwo największe nie wstrzyma go przed zdobyciem, jeśli nie niszyp wybranej, to w każdym razie sąsiedniej, a potem zejściem na szczebel, choć z trudem znacznie już większym. Mimo wszystko północ jednak istnieje, w postaci jednego z pokonanych lub, lepiej, jednej z pokonanych lub, jeszcze lepiej, pokonanej. Siedzi ona pod ścianą, głowę trzymając wśród kolan, obejmując rękami podkurczone nogi. Lewa ręka trzyma prawą piszczel, a prawa lewe przedramię. Rude włosy, wyblakłe wskutek tego światła, spadają do ziemi. Zakrywają jej twarz i cały przód ciała, nie wyłączając krocza. Lewą stopę trzyma na krzyż na prawej. To ona jest północą. Raczej ona niż któryś z innych pokonanych, bo bardziej nieruchoma. Kto chciałby wyjątkowo ustalać położenie, może się nią posłużyć. Oto dla kogoś, kto nie znosi i chce uniknąć akrobacji, dana niszyp znajduje się tyle to a tyle kroków lub metrów na wschód lub na zachód od pokonanej, oczywiście nie nazywanej przez niego w ten sposób ani też inaczej, nawet w myśli. Rozumie się samo przez się, że tylko pokonani chowają swe twarze, chociaż nie wszyscy bez wyjątku. Spośród stojących lub siedzących z podniesioną głową niektórym wystarczy nie otwierać już oczu. Nie wolno oczywiście odmawiać komukolwiek, kto tego zażąda, ukazania twarzy albo innej części, i każdy szukający może bez obawy, że napotka opór,

odsuwać ramiona skrywające ciało i podnosić powieki, aby zbadać oko. Są tacy szukający, którzy w krąg wspinania chodzą wcale nie po to, aby się powspinać, lecz by tylko się przyjrzeć z bliska temu lub owemu pokonanemu albo osiadłemu. Tak właśnie już wielokrotnie były unoszone i odgarniane do tyłu włosy pokonanej, tak odginana głowa i odsłaniana twarz oraz cały przód ciała aż do samego krocza. Przyjęte jest, aby wszystko po zakończeniu badań odkładać starannie z powrotem na miejsce, na ile to tylko możliwe. Pewna etyka nakazuje nie robić drugiemu, co uczynione przez niego byłoby niemiłe. Zasady tej w walcu raczej się przestrzega, o ile nie szkodzi to poszukiwaniom. Byłyby one śmiechu warte, gdyby w przypadku wątpliwości nie można było sprawdzić pewnych szczegółów. Radykalne zabiegi, służące ich ujawnieniu, podejmuje się tylko wobec osób osiadłych oraz pokonanych. Odwrócenie do ściany twarzą lub plecami są na ogół widziani z jednej tylko strony i to właśnie naraża ich na obrócenie. Lecz wszędzie, gdzie jest ruch, tak jak na arenie i wśród czatujących, i gdzie daje się obejść obiekt dookoła, nie zachodzi potrzeba tych manipulacji. Zdarza się oczywiście, że jakieś ciało musi unieruchomić inne i tak je ustawić, aby móc z bliska zbadać określone miejsce lub poszukać na przykład blizny czy znamienia. Należy w końcu wspomnieć o immunitecie, jaki chroni w tym względzie stojących w kolejce. Na skutek braku miejsca muszą się cisnąć do siebie, przez co długo ich widać tylko w wycinkach poplątanych ze sobą. Biada zapaleńcowi, który w porywie swej pasji ośmielił się tknąć najmniejszego wśród nich. Scena taka przerasta gwałtownością wszystko, co pod tym względem może się w walcu przytrafić.

I dalej tak w nieskończoność, aż pod koniec nie do pomyślenia, jeśli to ujęcie jest do utrzymania, już tylko jedno, ostatnie, w słabych porywach wciąż szuka. W pierwszym momencie

niczym się nie różni od innych ciał zmartwiałych, stojących lub siedzących w nieodwołalnej rezygnacji. Nie spotkano się w walcu z tym, aby ktoś leżał, pokonanym na zawsze jest tutaj wzbroniona ta błoga pozycja. Że są jej pozbawieni, wynika częściowo z braku miejsca na ziemi, każde ciało ma przecież do swej dyspozycji ledwie metr kwadratowy, bo tunele i nisze nie wchodzą w rachubę jako teren służący wyłącznie szukaniu. Więc ostateczne wyczerpanie tych zasuszonych, którzy muszą bez przerwy stykać się ze sobą, gdy wszelki taki kontakt przejmują ich grozą, nie kończy się naturalnie. Lecz dwie vibracje ciągle trwają, a to oznacza, że jeszcze nie jest ze wszystkim najlepiej w tej starej siedzibie. I oto rzeczywiście ten ostatni, jeżeli to człowiek, prostuje się z wolna i w jakiś czas potem otwiera wypalone oczy. U podnóża drabin, poopieranych o ścianę w sposób raczej nieregularny, nie czeka już żaden ze wspinających się. W mrocznej poświacie sufitu zenit zachowuje jeszcze swą legendę. Przy starym pokonanym z trzeciego kręgu nie ma już nikogo, kto by jak on nie zastygł w głębokim pochyleniu. Malec, wciąż przytulany przez siwowłosą kobietę, jest teraz już tylko cieniem na jej łonie. Ruda głowa opada aż do tego stopnia, że widać część karku, gdy spojrzeć od przodu. Oto więc ten ostatni, jeżeli to człowiek, znowu otwiera oczy i w jakiś czas potem toruje sobie drogę ku pierwszej pokonanej, branej tak wielokrotnie za punkt odniesienia. Klęcząc rozgarnia długie, ciężkie włosy i podnosi jej głowę nie stawiającą oporu. W ten sposób obnaża dawno zżartą twarz, a w końcu z pomocą kciuków otwiera bez trudu oczy. Po tych spokojnych pustyniach błądzi swoimi tak długo, aż te ostatnie pierwsze zamykają się wreszcie, a puszczone głowa opada na swoje miejsce dla siebie i sadowi się tam, a wtedy zapada ciemność i w tym samym momencie temperatura spada w okolice zera i tak już zostaje. W tej samej chwili milknie także ówadzie brzęczenie, o jakim była mowa, stąd cisza nagle większa od tych słabych oddechów wziętych wszystkie razem. Tyle z grub-

szą o ostatnim stanie walca i tego małego ludu szukających, z których w przeszłości nie do pomyslenia jakiś pierwszy, jeżeli to był człowiek, opuścił po raz pierwszy głowę, jeżeli to ujęcie jest do utrzymania.